

REFLEKTOR

30
GROSZY

NIEZALEŻNE SPOŁECZNO-KRYTYCZNE PISMO TYGODNIOWE.

Wychodzi w każdą sobotę.

BCHA BIAŁOSTOCKIE.

Budowa Domu Ludowego im. Marszałka Piłsudskiego w Białymstoku dobiega końca.

Jedna z najciekawszych budowli w Polsce.

Budowa Domu Ludowego im. Marszałka Piłsudskiego w Białymstoku dobiega końca.

Konstrukcja żelbetowa jest już ukończona. Pozostaje — dach.

Jest to najbardziej skomplikowana część budowy, wymagająca bardzo precyzyjnych obliczeń i niezwykle starannego wykonania.

Spoglądając na obecny gmach Domu Ludowego — obrzucony na zewnątrz belkami rusztowań, a wewnątrz wypełniony całą masą stempli, podpórek, słupów, desek, poprzeczek i t. p. — trudno jest zorientować się: jak będzie wyglądał Dom Ludowy po jego wykonczeniu.

Natomiast, rozglądając się w tym labiryncie przy pomocy planów, widzimy, że w podziemiach gmachu będą miały pomieszczenia: kawiarnia o rozmiarach ca 22x11 m. z owalem, przeznaczonym na dancing ca 10x7 m., specjalny pokój — bar, szatety miejskie, które będą posiadały wejście bezpośrednio z Ogródu, oraz kotłownia dla centralnego ogrzewania, które polegać będzie na wtłaczaniu do wnętrza pod ciśnieniem ogrzanego powietrza.

Na parterze zostanie urządzona widownia (550 miejsc), na którą wchodzić się będzie z obszernego vestibulu i szerokich kularów; dalej — z boków — we wnękach umieszczone będą szatnie.

Na parterze również mieścić się będą: dwa pokoje dla dyrekcji,

podręczna meblarnia, akwizytornia, garderoby dla artystów, miejsce dla orkiestry i sama scena, która zajmie miejsce aż pod dach.

Posiadać ona bowiem będzie urządzenie, umożliwiające zamianę dekoracji przez podniesienie starych i opuszczenie wiszących. Będzie ona zaopatrzona w kurtynę żelazną, oddzielającą widownię na wypadek pożaru.

Na pierwszym piętrze będzie balkon teatru (336 miejsc). Ze wszystkich miejsc scena będzie dobrze widziana.

We frontowej części gmachu będą się mieścić: sala balowa o rozmiarach ca 22x11 metrów i — obok niej — palarnia.

Z sali balowej będą wejścia na dość obszerne tarasy po obu stronach gmachu. Znajdzie tam także pomieszczenie kabina kinowa. Z tyłu zajmą całą przestrzeń lokale dla organizacji i stowarzyszeń społecznych, które przyczyniły się do budowy Domu Ludowego.

Dach gmachu, płaski, zakończony będzie attyką, całość utrzymana będzie w stylu najbardziej nowoczesnym.

Do monumentalnych schodów o dwu kondygnacjach prowadzić będzie świeżoułożona szosa asfaltowa — zajazd do teatru.

Pod względem śmiałości konstrukcji Dom Ludowy będzie jedną z najciekawszych budowli w Polsce.

nastroje wydcstają się na powierzchnię. Psychika zbiorowości zwłaszcza w dzisiejszych czasach, jest czymś bardziej złożoną, niż to wydaje się powierzchownemu obserwatorowi.

Co się dziś dzieje w Polsce? Co czują i co myślą masy?

Przedewszystkiem trzeba stwierdzić, że ewolucja ich poglądów i nastrojów nie idzie w tym samym kierunku i nie odbywa się w ten sam sposób, co ewolucja t. zw. „wyższych warstw”. Trzeba odróżnić: a) grupę ludności, która reprezentuje większy kapitał, wogóle wyższy stopień dobrobytu; b) t. zw. inteligencję i c) zwyczajnego, jak się to mówi — „szarego człowieka”.

Wśród warstw wyższych widać upadek ducha, apatie, brak szerszych zainteresowań politycznych, wielkie upowszechnienie się oportunisty. A tymczasem inaczej jest wśród szerszych warstw narodu.

Polska niema własnej silnej „burżuazji”. Wielki przemysł i handel opanowany jest w znacznym stopniu przez obcy kapitał. Nic dziwnego też, że warstwa, która ten kapitał reprezentuje, nie bierze dostatecznie czynnego i twórczego udziału w życiu narodu. Stroni od „polityki”, albo też uprawia politykę interesu.

Inteligencja jest zbiedniała. Niewątpliwie bardzo silnie odczuwa kryzys. Dzisiejsze stosunki wymagają od niej redukcji nawet już niskich potrzeb. Dzięki przewadze państwa w gospodarstwie — powstaje wielka zależność inteligencji od władzy administracyjnej, którą swoją przewagę bezwzględnie wyzyskuje. W dodatku w głowach naszej inteligencji panuje chaos, płaczą się najrozmaitsze sprzeczne z sobą hasła. Nad wszystkim guruje troska o byt materialny, wskutek czego maleje polityczne i społeczne znaczenie tej warstwy. Traci ona czucie z masami narodu, pozostaje im przodować, przestaje wśród nich pracować.

Dalecy jesteśmy od tego, by uważać za dogmat słowa poety: „jest w ludzkiej sile niespożyta”. Ale to, co się dzisiaj dzieje, każe stwierdzić, że masy narodu objawiają więcej zainteresowań poli-

Co czują i myślą masy?

Nieraz już zdarzało się, że rządzący nie mieli pojęcia o nastrojach i dążeniach rządzonych przez siebie mas narodu. Albo byli informowani tendecyjnie, albo też patrzyli przez okulary zniekształ-

cające rzeczywistość. Orientacja jest tem trudniejsza, że przemiany poglądów i uczuć nie we wszystkich warstwach ludności odbywają się jednakowo; a następnie z różnych powodów, nie zawsze istotne

tycznych, więcej samodzielności, mniej oportunistów, niż górne warstwy. Pogląd, że te masy myślą tylko o chlebie, o zarobku, że uprawiają politykę brzucha, jest godny wulgarnego demagoga, ale niezgodny z rzeczywistością. Niewątpliwie odczuwają bardzo ciężko tak zw. kryzys. Ale jeszcze więcej odczuwają brak poszanowania prawa i godności ludzkiej. Dla nich nie każdy cel uswięca środki. Nie wiedzą, co to wyższa „racja stanu”, która każe postępować niezgodnie z przekonaniem, która każe manifestować fałszywe uczucia.

Jeżeli dla uzyskania pracy każe się zwyczajnemu człowiekowi zmienić przekonania, zapisać się do tej lub innej organizacji, to inaczej przyjmuje to zwyczajny szary człowiek, a inaczej przedstawiciel warstw wyższych. Przemysłowiec zapisze się nieraz tam, gdzie mu każą, byle uzyskać dostawę; inteligent robi często to samo, bo ma „żonę i dzieci”, ale u dołu ta metoda działania natrafia na największy opór.

Można stwierdzić, że ludzie prości rozumieją lepiej różne zagadnienia narodowego bytu.

Do mas narodu nie trafi się dzisiaj przymusem i siłą. Nie pozyska się ich obietnicami różnych radykalnych reform, bo obiecującym nikt nie wierzy. Ten tylko będzie miał masy za sobą, kto razem z nimi walczy o prawo w Polsce i o poszanowanie godności ludzkiej.

REFLEKSJE.

Ulica białostocka—o robotach kanalizacyjnych.

(Uwagi, spostrzeżenia, przypuszczenia)

Prace skanalizowania naszego miasta posuwają się w dalszym ciągu naprzód.

Szersza publiczność białostocka mocno się ciekawi prowadzonymi robotami kanalizacyjnymi i uważnie im się przygląda.

Są to bowiem roboty dla miasta naszego bardzo potrzebne i bardzo kosztowne: instalacja kanalizacji Białegostoku kosztować ma 12 milionów złotych.

Nic też dziwnego, że obywatele białostocki uważnie śledzą i obserwują prowadzone roboty i na marginesie tych robót czynią—na temat ich wykonania—swe uwagi i spostrzeżenia.

Czasami uwagi i spostrzeżenia te bywają wprost naiwne, czasami zaś—zasługują na zastanowienie się nad nimi.

Na marginesie prowadzonych robót kanalizacyjnych ulica białostocka notuje, że na Nowym Świecie układane są rury kamiennkowe o średnicy 10 cali, co—zdaniem jej—jest stanowczo za mało. Jak sądzą obywatele, w razie ulewy

lub nawałnicy—rury te nie będą mogły przyjąć całej wody ze zlewni tego rejonu.

Układane obecnie rury trzeba będzie w przyszłości zamieniać rurami o średnicy większej. I znów trzeba będzie rozkopywać ulice miasta, które mają być przebrukowane wkrótce na sposób nowoczesny.

Pocóż te zbyteczne roboty? Lepiej od razu układać rury kamiennkowe o odpowiedniej średnicy, niż łamać potem ułożone na sposób nowoczesny bruki.

Zdaniem naszych domorosłych techników i urbanistów z ulicy, rury te powinny być o średnicy pół metra, nie zaś o średnicy 1/4 metra, jakie układane są obecnie.

Obserwujące roboty kanalizacyjne obywatelstwo ciekawi się: czy doły kloaczne będą, mogły być przyłączone do rur kanalizacyjnych o średnicy 10 cali wraz z całą swą zawartością?

Sądząc z szerokości wykopów, dokonanych na ulicy Marszałka Piłsudskiego, rury kanalizacyjne tej ulicy też mają być o średnicy 10 cali.

Jak przypuszczają pesemiści, w razie przepelnienia tych rur cieczą kloaczną—zawartości dołów kloacznych będą wychodzić przez trapy uliczne na ulicy i nieczystości będą pływały po chodnikach.

Na ulicy Poleskiej budowany jest prowizoryczny zbiornik kanalizacyjny—głębokości 8 metrów o średnicy 5 metrów. Zawartości zbiornika będą przepompowywane do rzeki Białej.

Mieszkańcy ulic Jurowieckiej, Poleskiej i Białostockańskiej obawiają się, że—spowodu tego przepompowywania zawartości zbiornika ściekowego do rzeki Białej—na ulicach ich będzie panował stale „wielki smród“...

Takie oto uwagi, spostrzeżenia i horoskopy snuje ulica białostocka, uważnie obserwująca dokonywane obecnie w naszym mieście roboty kanalizacyjne...

W ŚWIELE REFLEKTORA.

Bereł... „Echo“... Pomeranc...

Taki sobie faktomontażik czerwoniacko-prasowo-czekoladowy.

Białystok, Rynek Kościuszki. Południe dn. 17 września 1934 r.

Do kiosku gazetowego majestycznego p. Albina Brzostowskiego—vis.a-vis apteki Hałłaja—podchodzi właściciel kiosku firmy „Plutos“ w Ogrodzie Miejskim—p. Pomeranc:

— Proszę o dzisiejsze „Echo Białostockie“!

Z tyłu p. Pomeranca wyrasta w tym momencie nieco mafistofeliczna figura Bereła Bubryka, „reportażnika“ z „Dziennika Białostockiego“ i „prawej ręki“ „redaktora“ czerwoniacka—Duczyńskiego.

— Dlaczego pan kupujesz „Echo“, a nie „Dziennik“?

— Bo ja tak chcę...— odpowiada p. Pomeranc.

— Tak pan chcesz? Aha...— mruczy „reportażnik“ z „Dziennika“.

Słońko grzeje. P. Albin Brzostowski siedzi, jak jakiś bóg olimpijski, w swym kiosku. Pomeranc idzie na prawo, Bereł na lewo. Na wieży komendanta Markusa bije godzina dwunasta...

Rynek Kościuszki. Wtorek, dn. 18 września 1934. Obok kiosku gazetowego przechodzi p. Pomeranc.

— Proszę o „Echo Białostockie“...

— Służę panu... A dzisiejszy „Dziennik“ pan czytał?

— Nie. A co tam ciekawego?

— Wzmianeczka o odrapaniej budzie...

P. Pomeranc kupuje „Dziennik“ z dnia 18 września 1934 r. i czyta w nim:

„Odrapania bida „ozdobą“ najpiękniejszego klombu. Prowadzona od dwu lat praca nad polepszeniem wyglądu estetycznego naszego miasta kosztuje wiele starań, wiele wysiłku. Z żalem stwierdzić wypada, że nie wszędzie spotyka się ona właściwym zrozumieniem, i to nawet wśród organów naszego miasta.

W ogrodzie miejskim wystawiono kiosk firmy „Plutos“ ze słodyczami. Wstrętną odrapaną budę ulokowano jak na złość zasadom estetyki przed najpiękniejszym trawnikiem obok fontanny. Dobrzeby było, aby p. prez. Nowakowski udał się do ogrodu i zobaczył, jak ten piękny klomb „udekorowano“, a zarazem stwierdził, że są na terenie ogrodu bardziej odpowiednie miejsca na tę szpetotę, choćby nieco dalej, w alei głównej. Względy na interes kupiecki nie mogą i nie powinny odgrywać decydującej roli...”

— Co pan powiesz na to?

— Co ja mogę powiedzieć?...— odpowiada p. Pomeranc.— To „robota“ Bereła Bubryka. Za to, że kupuje codziennie „Echo“ zamiast „Dziennika“.

Środa, dnia 19 września 1934. Obok kiosku gazetowego znów przechodzi p. Pomeranc.

— Panie Pomeranc! A dzisiejszą wzmiankę „Dziennika“ pan już czytał?

— Co jeszcze?

Pan Pomeranc kupuje czerwoniacki i czyta w nim:

„Usunięta buda. W związku z wczorajszą naszą notatką o umie-

szczeniu kiosku firmy „Plutos“ przy klombie obok fontanny w ogrodzie miejskim — dowiadujemy się, że budkę tę przeniesiono samowolnie i na polecenie p. prez. Nowakowskiego w dniu wczorajszym została ona usunięta“...

— No, a na to co pan powiesz?

— Kłamstwo od początku do końca. Po pierwsze, kiosk przeniosłem obok fontanny nie samowolnie, lecz za zezwoleniem intendenta miejskiego — p. Jaworowskiego. A po drugie — „budkę“ — na polecenie p. prezydenta — nie usunięto, tylko przesunięto o parę metrów dalej. Po trzecie, „buda“ moja wygląda więcej estetycznie, niż cały ten Beret — „ozdoba“ „Dziennika“...

Pan Pomeranc się śmieje. Ktoś, stojący koło kiosku — też.

Białystok, 20 września 1934. Berelowi z „Dziennika“ i jego „redaktorowi“ „zeżreć“ budkę p. Pomeranca nie udało się..

P. Pomeranc może śmiało nadal czytać „Echo“ zamiast czerwoniaka, w którym uprawiają „prasę“ i „opinię publiczną“ Beret Bubryk i jego szef — Lucjan Duczyński..

„Zakrawaczka ludzkości“ z ul. Piłsudskiego.

Przed trzema tygodniami do rodzącej p. Eugenji M—icz, zam. w Białymstoku przy ul. Kaprańskiej 8, zawezwano — celem udzielenia pomocy przy porodzie — akuszerkę B.

Przybyła do chorej akuszerka zastrzyknęła do pośladka położnicy... środek żrący w znacznej ilości.

Ten „zabieg“ akuszerki B. spowodował u chorej Eugenji M. rozległy ropień zgorzelinowy na prawym pośladku, wielkości głowy dziecka. Ciężki stan chorobowy, trwający przy znacznym podwyższeniu temperatury ciała i niepomiarnej silnej boleśności, doprowadził wreszcie do pęknięcia abscesu i odpływu ropy w ilości ponad litrowej.

Chora E. M. pozostaje nadal w możliwości wytworzenia się u niej trwałej przetoki, przy obfitem wydzielaniu się ropy i płynu surowiczego.

Za taki „zabieg“ białostocką „przykrawaczkę ludzkości“ ciężko chora p. E. M. chyba nie podziękuje...

Białostockie ECHA PRASOWE.

Na tle posunięć Wodociągu Białostockiego.

W „Echu Białym“ jakiś p. Bezstronny pisze o nienormalnych stosunkach na tle posunięć Wodociągu Białostockiego:

„Ustawa o ochronie lokatorów, która zawsze była zwalczana przez właścicieli nieruchomości, a ostatnio stała się deską ratunku i kląpą bezpieczeństwa przed naciskiem ze strony lokatorów, między innymi narzuciła na właścicieli obowiązek ponoszenia kosztów za korzystanie przez lokatorów z wody.

Pomijam obecnie logiczność tego punktu ustawy, która stwarza precedens do nadużyć ze strony lokatorów, jak np. sprzedawanie wody osobom postronnym, lub urządzenie płatnych kąpielni dla tych osób. Chodzi mi o coś innego. W czasach obecnych kiedy płacenie czynszu dzierżawnego — w wysokości, przewidzianej przez ustawę — stało się dla lokatorów zbyt uciążliwe, we wszystkich prawie domach lokatorzy ze zgodą lub bez zgody właścicieli obniżali stawki komorniane w stopniu, dochodzącym niekiedy do 40 procent, czyli zamiast należnych 10 proc. płać 60 — 70. Ustawa zaś wyraźnie mówi, że właściciel domu obowiązany jest płacić za wodę tylko w tym wypadku, kiedy komorne wynosi 100 proc., czyli, że wobec obniżenia komornego odpada obowiązek płacenia za wodę.

Tak powinno być, a jak jest w rzeczywistości?

Lokatorzy, oprócz znizowania stawek komornianych, płać komorne nieregularnie, lub zalegają po kilka miesięcy. Tymczasem woda zużywana jest w dalszym ciągu i opłaty za nią obciążają właścicieli. Jeśli rachunek nie zostanie w terminie opłacony, zarząd Wodociągu przerywa do danej nieruchomości dopływ wody. Co się dzieje dalej?

Mieszkańcy zostają bez wody, co jest rzeczą niedopuszczalną, wobec czego władze, stojące na straży ładu i porządku w mieście (w Białymstoku — Starostwo Grodzkie), muszą wynaleźć winnych takiego stanu rzeczy. I wynajdują. Ale kogo? Zawsze właściciela domu, ponieważ on spowodował swym niepłaceniem pozbawienie lokatorów wody.

Jeśli woda jest artykułem niezbędnym do życia, jak powietrze, to pozbawiać jej nikt nie ma prawa, nawet potężny zarząd Wodociągu, który zawsze ma możliwość dochodzenia swych należności na drodze postępowania cywilnego. Pozbawienie mieszkańców wody winno być bezwzględnie karane. Władze o tem dobrze wiedzą i karzą, ale nie bezpośrednich sprawców karygodnego czynu t.zn. Wodociąg, bo ma on jakieś koncesje, uprawniające do tych karygodnych czynów, a tylko zupełnie niewinnych właścicieli domów. Paradoskalna sytuacja!

Kary administracyjne sypią się na „kamieniczników“ za to, że lokatorzy nie chcą płacić komornego, lub płać znacznie mniej, niż się od nich należy. Czy Starostwo Grodzkie wnikało w te sprawy? Czy przy wymierzaniu przesłuchi-

wano choć raz zainteresowanego właściciela nieruchomości? Czy ustawa o ochronie lokatorów istnieje?

Ustawa istnieje, ale nie stosuje jej ani lokator, ani Starostwo, a jeżeli „kamienicznik“ spróbuje nie stosować — zostaje karany grzywną lub aresztem...

A Wodociąg wyczynia „cuda“, bo posiada koncesję...

Czekamy sprawiedliwości“.

O tak koniecznym w Białymstoku lombardzie...

„Dziennik Białym“ porusza sprawę założenia lombardu w Białymstoku.

W artykule p.t. „Prawdziwym dobrodziejstwem dla szerokich sfer ludności i nowym źródłem dochodu dla miasta byłby tak konieczny w Białymstoku lombard“ czytamy m. in.:

„Doszły nas wiadomości, że w pewnych kołach mówi się o projekcie założenia kasy pożyczkowo-oszczędnościowej m. Białegostoku. Kasa taka — zdaniem inicjatorów — miałaby współdziałać w ożywieniu życia gospodarczego miasta, wpływać na zwiększenie obrotów handlowych, spieszyć z pomocą w pierwszym rzędzie średnio-zamożnym warstwom. Bliższe szczegóły projektu nie są narazie znane, w każdym razie przewiduje się udział w tem przedsięwzięciu gminy m. Białegostoku.

Czy dojdzie do realizacji tego projektu — trudno w tej chwili powiedzieć. Zdecydują tu oczywiście w pierwszym rzędzie względy na potrzebę i użyteczność takiej instytucji. A tu można by postawić cały szereg zastrzeżeń przede wszystkim zaś fakt, że w Białymstoku istnieje już Komunalna Kasa Oszczędności pow. białostockiego, która wykazuje ożywioną i pożyteczną działalność nie tylko na terenie pow. białostockiego, ale i w m. Białymstoku..

..W naszych stosunkach nie widzimy potrzeby nowej, o takich samych założeniach instytucji. A jeśliby wchodził w grę udział w niej gminy m. Białegostoku — to wskazałoby tu należało raczej na inne przedsięwzięcie, którego realizacja leży do pewnego stopnia w obowiązku naszych władz miejskich. Chodzi mianowicie o lombard, którego Białystok, miasto o 100 tys. ludności, dotychczas nie posiada.

W swoim czasie — podczas długotrwałego strajku włókienniczego, wskazywaliśmy na potrzebę powołania do życia takiej instytucji, któraby mogła oddać nieocenione usługi biedniejszej ludności w krytycznym dla niej okresie. Bo pozbawiony wówczas zarobków robotnik skazany był na sprzedaż z dużą stratą bardziej wartościowych przedmiotów lub stawał się ofiarą lichwiarza, który ciągał z tytułu udzielonej pożyczki nad-

mierne zyski. Nie miał wówczas robotnik ten dokąd się udać, aby zdobyć w drodze zastawu — na godziwych warunkach — pewnej kwoty na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb. Nietylko zresztą robotnik, ale i rzemieślnik, kupiec, urzędnik, rolnik z przedmieść Białegostoku, ba — nawet rolnicy z pow. białostockiego i przyległych chętnie korzystałoby z dostępnego kredytu, ratując się w kłopotach.

W swoim czasie podnosiliśmy, że przed samorządem naszym stoi — obok tradycyjnych zagadnień — cały kompleks zadań gospodarczych, leżących w interesie ogółu ludności. Nie będzie to przesadą, jeśli zaliczymy do nich sprawę lombardu. Dłuzszy byłoby, gdyby p. prez. Nowakowski, który dał się poznać, jako doskonały, zapobiegliwy, o wszechstronnym nastawieniu, świetnie obeznany w sprawach finansowych gospodarz naszego miasta, zechciał poświęcić nieco uwagi i tej sprawie, tembardziej, że lombard miejski stanowić będzie, nowe źródło dochodu dla miasta.

Migawki białostockie.

AFRYKAŃSKA KULTURA.

Pod takim tytułem czerwoniak białostocki notuje:

„Niema jeszcze tygodnia, kiedy nowy, wspaniały park na terenie po-seminaryjnym udostępniony został publiczności, a już zdołano wywieźć z tego terenu aż trzy czubate furgony śmieci, papierów, niedopalków i t.p. Śmieci tych nie wybierano z koszów, a zbierano przeważnie wprost z ziemi, gdzie porzucili je niechluj białostoccy. Aż rozpacz bierze, gdy się przechodzi wieczorem. Każda ławka — to istotna oaza wśród leżącego naokoło śmiecia, papierów od śniadań, niedopalków. Aby w ten sposób zachowywać się wśród tego piękna, jakim jest park, na to trzeba mieć naprawdę azjatycką kulturę. Mało tego — dzikusy białostoccy nawet do stawu, będącego ozdobą parku, narzucali różnego śmiecia.

I jeszcze jedno. W parku ustawiono 70 wygodnych, estetycznych, pomalowanych na kolor jasno-kremowy ławek (tyleż co na bulwarach). Ławki te stały się przedmiotem znęcań różnych wandalów, którzy uszkodzają je, wyrzynając nożykami różne inicjały, serca, przebite strzałą i t. p.

Winni tych przekroczeń będą pociągani do surowej odpowiedzialności, a na zaśmiecających park nakładane będą mandaty karne.

BÓJKA W BOŻNICY.

W ub. sobotę, wieczorem, w jednej z białostockich bożnic żydowskich wynikła bójka.

Nocujący w tej bożnicy jakiś żebrak z Wołkowyska połapał się, że w nocy ktoś wykradł mu 15 złotych — cały jego majątek.

O kradzież tą żebrak podejrzewał młodego chłopca — Szepsła Szeftla (ul. Mińska), którego uderzył butelką po głowie.

Zbroczonego we krwi malca przewieziono do Szpitala Żydowskiego.

PRAWNIK Z ULICY...

Niejaka K. R. (Kraszewskiego 6) zameldowała policji, że niejaki G. M., zamieszkały w tymże domu u swego brata, dokonał gwałtu na jej 6-letniej córeczce, Zosi, którą równocześnie zaraził chorobą weneryczną.

Podając o powyższem, pięciogroszówka białostocka woła:

— „Jaka szkoda, że za taką zbrodnię nie przewiduje się kara śmierci!..”

BEZPAPIEROSIE...

Do piwiarni Olgi Huszczo — przy ul. Mazowieckiej 39 — wszedł w ub. niedzielę niejaki Jan Pruszkowski (Angielska 25), domagając się papierosów lub 1 zł. na papierosy.

Gdy właścicielka piwiarni odmówiła mu papierosów, Pruszkowski wybił 6 szyb i złamał ramę okienną.

Tylko. Więcej nic!

Policja spisała protokół.

W Białymstoku mówią, że...

...znany chirurg tut. — p. dr. Fiedorowicz — ma zamiar opuścić wkrótce nasze miasto i przenieść się na stałe do Warszawy.

Jeżeli szanowny pan doktor rzeczywiście ma takie zamiary — będzie to znaczna utrata dla miasta.

W osobie bowiem p. dra Fiedorowicza Białystok posiada wybitnego chirurga — prawdziwego „artystę noża chirurgicznego”.

.. w pierwszych dniach października rb. w Białymstoku odbędzie się koncert znakomitej śpiewaczki Ady Sari.

..ze wszystkich agend Magistratu m. Białegostoku najwięcej interesuje nowoobranego prezydenta miasta — p. S. Nowakowskiego — Wydział Techniczny i jego działalność.

Bardzo energiczne posunięcia poszczególnych jednostek z tego wydziału oddawna już zasługują na wyróżnienie i odpowiednie uznanie...

...dbająca o estetyczny wygląd miasta Komisja Artystyczna ma, prawdopodobnie, zwrócić się do właścicieli jednej z aptek białostockich w sprawie znajdującego się w oknie wystawowem tej

apteki wypchanego białego labędzia.

Upiększający bowiem od lat 25 aptekę i szarpnięty zębem czasu królewski ten ptak wygląda ostatnio jakoś mocno „obskubanie” i „parszywie”...

...staw w nowootwartym parku poseminaryjnym — vis-a-vis Izby Skarbowej — ma, jak przypuszczają, otrzymać nazwę:

— „Jezioro Iez”...

Białostocki skład firmy „Karol Jankowski i Syn w Bielsku.”

W ub. miesiącu w Białymstoku — przy ul. Sienkiewicza 27 — otwarty został skład detalicznej sprzedaży towarów męskich, damskich i wojskowych jednej z najstarszych fabryk polskich — „Karol Jankowski i Syn w Bielsku.”

Wystawa nowootwartego magazynu materiałów włókienniczych urządzona jest istotnie po europejsku, estetycznie.

Wnętrze nowego magazynu znanej od stu lat firmy również sprawia jaknajlepsze wrażenie.

Do wyboru odwiedzającej skład licznej klienteli firma oferuje bogaty asortyment doborowych towarów, z powodzeniem współpracujących z najlepszymi materiałami angielskimi. Ceny tych materiałów, mogących zaspokoić najbardziej wybredne gusta, są najbardziej umiarkowane.

Kierownikiem i administratorem nowootwartego składu jest długoletni i wybitny fachowiec w tej dziedzinie — p. A. Filapek.

REPORTAŻ.

Przewodnik po woj. białostockiem.

W tych dniach bawił w Białymstoku p. F. A. Ossendowski, który zwiedził piękniejsze zakątki środkowej i południowej części naszego województwa, a m. in. Supraśl i Knyszyn. Jak wiadomo, p. F. A. Ossendowski zapoznał się uprzednio z pojezierzem suwalsko-augustowskim. Celem tej podróży p. Ossendowskiego jest zbieranie materiałów do opracowywanego przewodnika dla turystów w woj. białostockiem, który wyjdzie nakładem Wejnera w Poznaniu. P. Ossendowski opracował już „Polesie”, wydane ostatnio nakładem tegoż Wejnera.

Ruch budowlany w Białymstoku.

Według statystycznych danych Zarządu miasta — w ub. miesiącu rozpoczęto budowę 28 budynków, w tem 27 mieszkaniowych i jednego garażu. W tymże czasie zakończono budowę 15 domów. Polecono rozebrać 6 budynków (w tem jednego handlowego), jako nie nadających się do użytku i grożących zawaleniem. Na rozpoczęcie budowy uzyskało zezwolenia 67

petentów. Tak ożywiony ruch budowlany w okresie sezonowym zawdzięczać należy udzielanym przez Bank Gospodarstwa Krajowego—na podstawie wniosków komitetu rozbudowy miasta—pożyczkom.

Przeniesienie strzelnicy. W r. b. projektowano przebudowę strzelnicy na ul. Branickiego. Wobec tego, że mieszkańcy tej okolicy wskazywali na niebezpieczeństwo dla przechodniów, uchwalono przenieść strzelnicę do „Zwierzyńca“.

Powrót z urlopu. Po 6-ciu tygodniowym urlopie wypoczynkowym powrócił w bieżącym tygodniu i objął urządowanie p. prokurator Olgierd Stetkiewicz.

Eksport drobiu. Białostocka filija firmy „Sair“ wysłała w ostatnim tygodniu do Anglii dwa wagony drobiu, wagi 11.006 kłgr.

Sztuczny lód. Zarząd Miejski przystąpił w bieżącym tygodniu do produkcji lodu sztucznego w generatorze przy chłodni na Rzeźni Miejskiej. Lód w słupkach o wadze 12 i pół kłg. sprzedaje się po cenie 75 gr. za sztukę loco Rzeźnia.

Princesse Iwaku.

W prasie amerykańskiej taka krótka notatka:

„Jak donoszą z Tokio, popełniła samobójstwo księżna Iwaku, poderżnawszy sobie brzytwą gardło. W roku ubiegłym księżna była aresztowana pod zarzutem należenia do komunistycznego spisku rewolucyjnego przeciwko konstytucji japońskiej. Twierdzą, że księżniczka rozczarowała się do stronnictwa komunistycznego i doszła do przekonania, iż swoją działalnością zaszkodziła tylko ojczyźnie.“

I nic więcej. Ale można się domyślić, można sobie dośpiewać i dopisać. W „Sketchu“ angielskim była raz jej pewnie podobizna wśród kilkunastu innych pamierek z najwyższej „society“ tokijskiej. Wyjątkowo bardzo urocza nawet wśród tych pięknotek i slicznotek, oczywiście i filigranowa i parcelanowa, ale nowoczesna i wysportowana.

Pochodzi, podobno, z najwyższej szlachty dworskiej, ale dziś ciężko zbiedniałej. Jej klan należał do Shogunatu. Siedzieli po wsiach i dostarczali państwu tęgich wojskowych, a od lat 70. ciu—generałów i admirałów.

Posiadała kilka języków, a ponieważ objawiała wielki talent malarski, więc zdecydowano się nawet w dwudziestej wiosnie wysłać ją na studia do Paryża. Niektórzy przyjaciele rodziny odradzali Paryż. Te panny z Nipponu, które studjowały w Londynie, Berlinie, Florencji, wracały do ojczyzny z doskonałymi rezultatami. Te zaś, co w Paryżu, przeważnie miały coś tam przewrócone w główkach.

Księżniczka omal odrazu wpadła w jakieś dziwaczne milieu nad

Sekwaną, składające się z... pacykarzy i pacylistów. Robił jej portret rodak, słynny Fuita, i ten poznał ją z tymi turystami i futurystami z Cafe du Dome, z Rotondy, z baru Szwedzkiego i z innych lokali i pracowni na Montparnassie. Towarzystwo było bardzo mieszane. Iwaku słabo orjentowała się w tych białoskurnych gatunkach. W każdym razie jednak byli bardzo interesujący, wykształceni, dowcipni, wygadani i mówili wszystkimi językami świata. Jedyną wadą tych pacykarzy i pacylistów było to, że stale podkpiwali sobie z jej ukochanych starych japońskich obyczajów, odrębności, wierzeń i manier. Irytowało ich, że np. ma ze sobą mały ołtarzyk z domowym opiekuńczym duchem Dajkohu i że przed nim pali świeczki. Potem zaczęli księżniczkę zasypywać różnymi książkami, broszurami i pismami. Potem brali na różne wiecze i meetingi, gdzie pluli i psioczyli na.. Anglję. Aż wreszcie doszła i ona do tego przekonania, że jej ukochana do niedawna najśłodsza ojczyzna Chryzantem i Bażantów jest najobrzydliwszym krajem świata, a jej rodacy zaś—skośnookimi „złotymi djablami“...

Malarja okazała się więc malarją, a princessa Iwaku, zamiast malować, zapisała się do kompartji nipponńskiej, podejmując się różnych propagandowych robótek wywrotowych i rewolucyjnych, gdy tylko wróci do obrzydłej reakcyjnej ojczyzny...

Wróciła rok temu i odrazu rzuciła się w wir zjadłej i systematycznej destrukcji. Zapisana do rewolucyjnego związku malorolnych (Dzen-no), zaczęła sama pisać do komunizującego chłopskiego „Siakaj-Undo-Tansin“. Nowymi bogami jej byli czerwony, jak rak, powieściopisarz Takumaga („Ulica bez Słońca“), no i, oczywiście, uwięziony, niedoszły Lenin, — Katajama. Nie czuła się jednak osamotnioną wśród ludzi z plebsu, z proletariatu. Wśród komunistów była spora ilość młodych arystokratów i to właśnie z najstarszych Shogunackich rodzin.

Z rodziną Iwaku nawet nie starała się widzieć. Zresztą nie miałyby czasu. Wciąż jeździła, jako tajna kurjerka (dromedar), z bibułą, z drukami i instrukcjami a to do Charbina, a to do Szanhaju, a to Dajren, a to Mukden. Ale właśnie dzięki tym podróżom dopiero mogła się przekonać, jak właściwie kłamliwie, oszczerczo i pedalczo szkalowano jej kraj i jej rodaków.

Pół roku temu księżniczka Iwaku zerwała z czerwonymi. Przekonała się raz ku swej grozie, że gryps szyfrowany, który wozi dla organizacji kompartyjnej w Charbinie, tamtejsze Stejnji Bergi odcyfrowany dostarczają Stejnjom i Bergom z G. P. U. w Chabarowsku. Cały rok służyła tedy zdrajcom. Własnoręcznie w pookoju hotelowym sprzątnęła z

colta dwóch takich szubieniczników, ale jednak jeszcze było za mało. Trzeba było teraz odrobić to wszystko, co złego i szkodliwego przez rok wyplatała. Więc zaraz z miejsca wprost przystąpiła do jednej z dwustu organizacji młodzieży narodowej, do Czarnych Koszul—„Day Nippon Segyida“. Ci też zresztą mieli w programach swoich szereg postulatów postępowych. Ku zdumieniu swemu dopiero teraz dowiedziała się, że do tych patriotycznych związków należą nietylko te „wyzyskiwane wampirycznie“ robotnice z fabryk, ale i dziewczki od krów, dalej baletnice i tancerki z Takaradzuka, ba! nawet wszystkie giejsze i kokotki z herbaciarni, już doskonale wyćwiczone w strzelaniu, w rzucaniu granatów ręcznych, ba! w szoferce, ba! w pilotowaniu, ba! giejsze w dzień (wolny od zajęć) odbywają manewry już w maskach gazowych.

Wyleczona z komunizmu, przywrócona na ojczyzny (i rodziny) łono, zobaczyła biedna pryncessa po raz pierwszy pierwsze plamy na słońcu... prawdziwe plamy ciemne na czerwonym słońcu, które na sztandarach białych dla wojska często własną krwią barwią patriotki z Nipponu. Plamy na czerwonym słońcu... Rewelacje prasy o kapitalistycznych szacherkach, szwindlach, „tranzakcjach“, defraudacjach, kompromitacjach, skandalach i tuszowaniach..

I już teraz nie miała ni cierpliwości, ni siły woli — doczekać się, aż tych wszystkich po kolei zdeptają, wyłapią i nakryją. Był pośród geszefciarzy także prezydent Tokio, ojciec wicehrabiego Nori... komunisty...

I wtedy to chwyciła za brzytwę urocza i szlachetna księżniczka Iwaku. I przecięła sobie szyję. I już nie zobaczy rozkwitłych na przyszłą wiosnę drzew wiśniowych...

SYGNAŁY.

PARYŻ W GRUZACH!..

„Front będzie nad naszymi głowami!..“

Zagłada nieunikniona.—Bezbronność Anglii.—Londyn w ruinach.—Gdzie padną pierwsze strzały...

31 sierpnia i 1 września rb. trwały wielkie manewry lotnicze we Francji. Manewry miały charakter masowego ataku lotniczego. Brało w nich udział ponad 500 maszyn. Atak skierowany był od wschodu (a więc od strony Niemiec) i szedł w prostej linii na Paryż i znaczną część Francji wschodniej.

Manewry były przeprowadzone w ten sposób, aby jaknajbardziej sblizone były do prawdziwych warunków walki. Dowództwa obu grup działały całkowicie samodzielnie i wykonywały powierzone im

zadania.

Atakująca flotylja powietrzna składająca się z wielu grup samolotów myśliwskich i bombardujących, zniszczyła linię obronną i przedarła się w głąb kraju, docierając do wielkich miast i atakując Paryż. „Niby-bomby“ zniszczyły lotniska, węzły kolejowe, drogi, mosty, a miasta zamieniły w gruzy (w teorji).

Dwie trzecie Paryża znalazła się pod obrzutom bomb lotniczych. Atakujące eskadry nalatywały z wysokości 3000 metrów, tak, że do ostatniej chwili ataku nie było prawie zupełnie widać i słycać. Bomby padały celnie. Łączność między poszczególnymi grupami obrony została zerwana. Eskadry obronne gubiły się w powietrzu i nie mogły utrzymać jednolitej linii akcji. Również obrona komend nie powiodła się. Atakujący dotarli do wszystkich niemal wyznaczonych im punktów. Okazało się, że dzisiejsze środki obrony są zupełnie przestarzałe i niedostateczne oraz że nie zapewniają zupełnie bezpieczeństwa bronionym.

Gdyby manewry francuskie były nie zadaniem teoretycznym, a atak był atakiem prawdziwym, zagłada wielu miast Francji byłaby zupełna, a sam Paryż leżałby odcennie w ruinach niemal zupełnie.

Jedyną drogą obrony i możliwością przeciwstawienia się wrogowi była kontrofenzywa bronionych, podjęta w formie niszczyielskiego ataku odwetowego. Warunkiem jednakże jego jest szybkie wykonanie, zanim floty nieprzyjacielskie zdołałyby dokonać dzieła zniszczenia i w olbrzymiej masie przeciwstawić się nadlatującym.

W chwili obecnej okazuje się, że jedyna Rosja jest krajem, który z samego swego położenia ma zapewnioną obronę przed atakami na miasta i główne centra przemysłowe.

Obecnie Anglja coraz bardziej jest narażona w razie wojny na atak z powietrza. Jej pozycja obronna, która tak długo gwarantowała bezpieczeństwo, dziś wobec rozwoju lotnictwa uległa redukcji do minimalnych granic. Zeszłoroczne angielskie manewry lotnicze wykazały, jak narażone są na niebezpieczeństwo wielkie miasta angielskie i wszystkie centra przemysłowe Anglji. Sensacyjne wyniki manewrów francuskich są dla Anglji nową przestroga.

W dotychczasowym planie obrony powietrznej Anglji, Belgja upatrzona była jak jedną z baz operacyjnych sił powietrznych Anglji. Obecnie koła fachowe uważają, że Belgja nie może służyć temu celowi.

Atak nieprzyjacielskiego lotnictwa na Londyn będzie tak silny, że zachodzi kwestja, jak uchronić londyńskie doki portowe i obywatelstwo przed głodem i paniką. Podpisując w 1839 roku

umowę o bezpieczeństwie integralności Belgji. Anglja temsamem w ówczesnych stosunkach chroniła swe granice. Stosunki jednak się zmieniły. Belgja nie przedstawia pod względem militarnym żadnej wartości. Stała armja liczy tylko 66.500 żołnierzy, lotnictwo posiada tylko 195 samolotów. Budżet wojskowy wynosi tylko 18 milionów funtów szterlingów, podczas gdy angielski budżet wojenny wynosi 115 milionów.

„Daily Mail“ wątpi w to, by Belgja była zdolna do obrony swych granic, tak jak nie była zdolna podczas wojny światowej. Niektórzy belgijscy fachowcy są nawet zdania, że na wypadek nowej inwazji wojska belgijskie cofnęłyby się aż do Antwerpji i tam czekały na pomoc Anglji. Anglja jednak pomocy takiej udzielić nie może, a fachowcy wojskowi zbyt często marnują swój czas na szukanie obronnych pozycji na kontynencie.

Jeżeli wybuchnie wojna, front będzie ponad naszymi głowami. Pierwszy strzał nie padnie gdzieś tam we Flandrii, ale na Piccadilly..

„Jutro — pożar świata!“ Straszliwa wizja przyszłej wojny.

W Stuttgarcie ukazała się ostatnio na wystawach księgarskich książka niejakiego Wernera Chomtona, młodego literata niemieckiego. Książka — romans nosi znamieny dla ducha współczesnej epoki tytuł: „Welbrand von Morgen“ — „Jutro pożar świata.“

Autor, wychodząc z niewesołych dzisiejszych przesłanek politycznych, maluje z dużą plastyką przyszłą wojnę japońską-sowiecką. Wojnę techniczno-chemiczną, ze wszystkimi jej okropnościami, któremi nas częstują wciąż w niezliczonych artykułach i broszurach zarówno ludzie dobrej woli, pragnący ostrzec ludność, jak też ludzie złej woli, pragnący potrzymać psychozę zbrojeń, która znakomicie ułatwia odroty przemysłu wojennego i zasila kieszenie akcjonariuszy fabryk broni.

W fantazji Wernera Chamtona zarysuje się olbrzymie sowieckie miasto Naftodar, będące jednocześnie — jak sama nazwa wskazuje — ośrodkiem sowieckiej produkcji naftowej. Autor umiejscawia to fantastyczne miasto nad Bajkałem. Wielkie gmachy żelbetowe, szeroko asfaltowane ulice, potężne szyby naftowe, rafinerje, setki wagonów — cystern, tłumy, robotników, tramwaje, pociągi milionowa ludność, koszary, liczna załoga, wspaniałe hangary lotnicze — wszystko to składa się na barwny obraz Naftodaru. Wre tam gorączkowa praca. Realizuje się hasło „dognat“ i obognat“ Ameryku“.

Związek Sowiecki toczy wojnę z państwem Wschodniego Słońca. Naftodar narażony jest właśnie —

mimo tysięcy kilometrów, dzielących go od Japonji — na groźny raid japońskich samolotów.

Wszystko jest przygotowane na atak nieprzyjacielski. Cała ludność została należycie poinformowana o obronie przeciwgazowej i przeciwlotniczej. Wszyscy otrzymali maski. Schrony przeciwgazowe w każdej chwili są gotowe do użytku, nad bezpieczeństwem miasta czuwały zresztą, eskadry myśliwskich samolotów sowieckich. Całe miasto było otoczone ponadto rodzajem stalowej sieci, sięgającej na setki metrów wgórę i uniemożliwiającej nieprzyjacielskim samolotom krążenie nad miastem. Wreszcie działała bez zarzutu specjalna stacja podsłuchowa — cud techniki współczesnej.

Stacja ta mieściła się głęboko pod ziemią w specjalnym schronie. Cały kompleks misternych, nadzwyczaj czułych instrumentów, zmontowanych z wielkim nakładem pracy, zapobiegł niespodziankom powietrznego najazdu. Na motorowej, oświetlonej ze spodu tafli szklanej biegła jakaś tajemnicza wskazówka, za którą śledził ustawicznie wzrok dyżurnego mechanika, odcyfrowującego przy pomocy mapy ruchu japońskich samolotów. Cudowne urządzenie pozwalało określać dokładnie położenie, kierunek, liczbę i wysokość lecących samolotów nieprzyjacielskich. Nad niebezpieczeństwem Naftodaru czuwali przeto nietylko ludzie. Czuwały także aparaty. Czuwały maszyny. Taka koordynacja sił i możliwości obronnych zdawała się wykluczać wprost realność najazdu żółtych wrogów.

A jednak — pewnego dnia aparaty podsłuchowe zaczęły sygnalizować obecność skrzydlatego przeciwnika. Stało się to w chwili, gdy nad Bajkałem i Naftodarem rozszalała się burza śnieżna i kiedy — w związku z tem — jakimkolwiek lot stawał się niepodobieństwem. Mechanikom, czuwającym na stacji posłuchowej, wydało się nawet, że w misternym urządzeniu coś się wskutek śnieżycy zepsuło. Rychło jednak zorientowali się, że aparaty działają dobrze. Wróg nadlatywał. Zbliżał się coraz bardziej. Eskadra ciężkich transportowców japońskich zawisa wkońcu nad Naftodarem, lecz na wysokości tak wielkiej, że działa przeciwlotnicze okazały się nieskuteczne.

Poprzez wicher i śnieżycę rozbrzmiał przeraźliwy gwizd syren fabrycznych — sygnał niebezpieczeństwa gazowego. Wszystko, co żyło, rzuciło się do schronów. Ci zaś, którzy musieli zostać na zewnątrz schronów, zakładali maski. Dla zastonięcia ważniejszych obiektów przed wzrokiem wroga otoczono w ciągu pary minut Naftodar sztuczną mgłą. Wbiły się wgórę samoloty sowieckie, usiłując zmusić żółtych do ucieczki.

Lotnicy japońscy o ucieczce wszelako nie myśleli. Ożywiła ich

jedną tylko myśl: rzucić na sowiecki ośrodek naftowy cały swój śmiertelny ładunek i zginąć za mikada i daleką słoneczną ojczyznę. Promień działania transportowców japońskich był ograniczony. Nie mogłyby już one odbyć powrotnej drogi bez lądowania, a przytem — z racji swej budowy — nie umknęłyby przed zwrotnymi sowieckimi aparatami myśliwskimi. Powstała więc śmierć. Przedtem zaś — zniszczenie wroga.

1 — nastał sądny dzień. „Poprzez sztuczną mgłę niewidzialny wróg śłał na miasto deszcz śmierci. Z ogłuszającym hukiem pękały niszczące wszystko dookoła bomby. Raz po raz spadały wdół groźne torpedy, wypełnione gazem, oraz pociski, wytwarzające żar kilku tysięcy stopni. W parę minut całe szeregi wspaniałych domów Naftodaru leżały w gruzach. Załamywały się z trzaskiem płonące budowle. Ekspłodowały gazometry i zbiorniki materiałów palnych. Pękały sklepienia piwnic i schronów, zaś ludzie, rozrywani na sztuki, duszeni zabójczym gazem, smażeni żywcem wskutek piekielnego gorąca — ginęli masowo. Płomienna i dusząca śmierć zbierała obfite żniwo, nie czyniąc różnicy między chałupami i pałacami, fabrykami i szpitalami, przytułkami i lokalami rozrywkowymi...”

Naftodar zamieniono w kupę gruzów, spośród których unoszą się w górę ciężkie kłęby dymu i wystrzelają snopy ognia...

Straszliwe wizje w rodzaju scen, wyjętych z książki Chomtona, mogą łatwo stać się rzeczywistością i okropny „Weltbrand“ istotnie może wybuchnąć lada chwila.

Dzisiejsza sytuacja polityczna w Europie i Azji jest taka, że — jutro może być pożar świata...

wspaniały i — zdawało się — ostateczny pod względem szybkości...

A dziś — dziesięciokrotnie większa przestrzeń między Londynem a Berlinem przebyto w ciągu 2 godzin. Stosunek ten jaskrawo charakteryzuje rozwój lotnictwa w ciągu ostatniego ćwierćwiecza.

Przed dwudziestu pięciu laty rekord Junkersa uważany byłby za niedoścignioną fantazję, dziś natomiast traktowany jest jako coś zwykłego i już się mówi o dalszych osiągnięciach w tej dziedzinie: — London — Berlin w ciągu godziny, w ciągu pół godziny. Nie będzie to już podróż ze stolicy Anglii do stolicy Niemiec, lecz — przejażdżka, spacer.

Wobec tego tempa rozwoju komunikacji lotniczej dlaczego nie można byłoby na serio pomyśleć o kilkugodzinnej podróży z Europy do New Yorku?... Oczywiście podróż takiej nie można byłoby odbyć aeroplanem lub zeppelinem, a więc środkami komunikacji nemi, wymagającymi „powolnej”, jak na takie przedsięwzięcie, jazdy. Do takiej podróży nadaje się tylko jeden rodzaj lokomocji: — rakiet.

Niema w tem nic dziwnego.

Już Newton wspomina o tego rodzaju komunikacji. Od pół wieku uczeni poważnie zastanawiają się nad zrealizowaniem rakietowych lotów, a nie dalej przecie jak przed sześciu laty Opel pierwszy przeprowadził swój słynny eksperyment.

Od tego czasu poczyniono dalsze postępy: — zamiast materiałów wybuchowych wprowadzono płyny i uzyskano tą drogą wysokość, dochodzącą do 4000 metrów. Oczywiście, że eksperymenty te czyniono narazie tylko ze samymi modelami bez udziału pasażerów, którzy po wyrwaniu się na tak znaczną wysokość, nie ujrzeliby już nigdy ziemi...

Ale pewnego dnia przewyżnione zostaną wszystkie przeszkody i przejedziemy się z Warszawy, Berlina lub Paryża do New Yorku w ciągu kilku godzin... Fantazja, utopia? Słowa te dawno już zostały wykreślone ze słownika współczesnej techniki...

W każdym razie są ludzie, którzy wierzą święcie w realizację tych planów, w przeciwnym razie nie byłoby fanatycznymi wynalazcami. Do nich należy w pierwszym rzędzie inżynier Neller, karmelkowy staruszek, który od lat trzydziestu bez większych zasobów pieniężnych pracuje nad skonstruowaniem rakiety napowietrznej. Podobnie, jak swego czasu hr. Zeppelin tak samo i on, nie znajduje zrozumienia wśród swego otoczenia, które uważa go za chorego fantastę. Ale oto inżynierowi Nellerowi udało się wynaleźć nowy materiał wybuchowy, zwany przez niego „calaphinem” który w połączeniu z kwasami zamienia się w ciało lotne o niebywalej sile pędnej. Dzięki tej

nowej sile uderzeń wstecznych inż. Neller zamierza wnieść obciążoną półtora tonnami raketę na wysokość 10.000 metrów, osiągając szybkość 1500 kilometrów na godzinę... A więc raketę może odbyć podróż z Berlina do New Yorku w ciągu niecałych czterech godzin!

Inż. Neller skonstruował dotychczas 32 modele, ale obecnie ukończył najnowszy okaz: — „Rakietę 33”. Jest to aparat, który lata, pływa, jedzie po ziemi, utrzymuje się nieruchomo w powietrzu i kierowany jest elektrycznością przy pomocy krótkich fal radiowych. Próbną model zdał egzamin doskonale: — utrzymuje się przez 25 minut w powietrzu i wrócił do punktu wyjścia. Wyśmiewanego wynalazcę zaczynają traktować na serio, dziennikarze proszą o wywiad, wytwórnie filmowe ubiegają się o jego udział w filmach, milionerzy amerykańscy otwierają przed nim swe ogniotrwałe kasy i safesy. Następny próbną model doleciał aż do Szwecji... 570 kilometrów w ciągu 50 minut! Wczorajsza podróż całodzienna, dziś — w ciągu niecałej godziny!... Wedle tych obliczeń podróż z Europy do Ameryki nie powinna trwać dłużej ponad cztery godziny.

Pewne konsorcjum amerykańskie zaofiarowało Nellerowi dwa miliony dolarów na produkcję tego rodzaju raket pasażerskich.

Stary, wyśmiany wynalazca znalazł się wreszcie u kresu swych marzeń. Oto buduje pierwszą raketę pasażerską. — Po przewyżnieniu wielu trudności technicznych oraz niemniej absorbujących intryg „Rakietę 33” stanęła gotowa do próbnego lotu. Inżynier i monter zajmują miejsca przy maszynach, jeden z dziennikarzy amerykańskich ofiarował za kabinę 135.000 dolarów...

Pasażerowie zajmują miejsca. Drzwi kabin zostają zamknięte. Po chwili rakietę osiąga 200 metrów szybkości na wysokości 500 metrów ponad ziemią. Aparat wznosi się coraz wyżej i pędzi coraz szybciej... Po kilku minutach szybkość wynosi już 1200 kilometrów, wysokość 5000 metrów.

Ale nikt nie czuje tego chyżego lotu. Jeden pasażer tylko słabnie: — Inżynier Neller. Opuszczają go siły. Gdy rakietę zbliża się do New Yorku ulega atakowi serca... Z trudem udało się go uratować... Przy pomocy radja przywołano na lotnisko newjorskiego lekarza. Skok udał się znakomicie. Przestrzeń Berlin — New York pokonana została w ciągu 3 godzin 46 minut.

Entuzjastyczne przyjęcie, w którym jednak wynalazca nie może wziąć udziału. Wyprowadzają go na noszach z kabiny. Lekarze po zbadaniu chorego każą mu kategorycznie pozostać w New Yorku na kuracji. Ale inż. Neller nie chce o tem słyszeć. Plan jazdy przewiduje powrót tego samego dnia do

„RAKIETA 33”.

Warszawa — New-York w ciągu 4 godzin!..

Przed kilku dniami ukazała się w prasie niedoceniona przez nikogo wiadomość treści następującej:

„Samolot Junkersa odbył ostatniej niedzieli podróż z Londynu do Berlina w ciągu dwóch godzin”.

Jest to rekord niebywały, który mógł przejść bez wrażenia tylko w okresie gorących wydarzeń politycznych.

Ten bohaterski wyczyn lotniczy przypadł akurat w 25-tą rocznicę brawurowego lotu Bleriota, jakże jednak śmiesznie wygląda ówczesne bohaterstwo śmiałego lotnika francuskiego wobec rekordu aparatu Junkersa. Przed dwudziestu pięciu laty — w roku 1909 — Bleriot pierwszy przeleciał ponad Canal La Manche z Calais do Dover. Ta pierwsza podróż nad-oceaniczna trwała trzy kwadransy. Był to wtedy rekord zachwycający,

